

Fenomen natury.

Morze Czarne należy do bardzo niebezpiecznych. Zwano je wprawdzie w starożytności „morzem gościnnym“ („Pontos euxeinos“), w rzeczywistości nie jest niem wcale, bo częste burze i gęste mgły utrudniają bardzo po nim żeglugę. Te mgły właśnie były przyczyną, że nadano mu nazwę „Czarnego“, która to nazwa była już w nżyciu w XIII. stuleciu zarówno u Tatarów, jak i Genuńczyków, oraz Wenecyan, utrzymujących przez swe faktory żywe stosunki handlowe z mieszkańcami po-brzeży tego morza.

Szczególniej zimą warunki nawigacji na Czarnem morzu są bardzo trudne. W jego wschodniej części wieje wtedy dość często niesłychanie silny wiatr północno-wschodni, zwany w tamtych stronach „abaza“, przynoszący ze sobą oprócz nadzwyczajnego spadku temperatury, olbrzymie opady śniegu. Biada wtedy statkowi znajdującemu się na pełnem morzu! W przeciągu dwóch, trzech godzin spadają nań takie masy śniegu, — jak to widać na zdjęciu podanem w dzisiejszym numerze — że zupełnie z miejsca ruszyć się nie może. W dodatku mgła, towarzysząca zwykle podobnemu fenomenowi natury, czyni żeglugę w wysokim stopniu niebezpieczną. Kapitanowi statku nie pozostaje nic innego do czynienia, jak zatrzymać się w miejscu i czekać, dopóki dobroczynne słońce nie stopi mas śniegowych i nie rozproszy ciemności przez mgłę wywołanych.

Nieraz z tego powodu przychodzi do bardzo smutnych wypadków, bo, przy stosunkowo niewielkich przestrzeniach, po jakich kursują statki pasażerskie po Morzu Czarnem, nie bywają zwykle zaopatrzone w prowiant na dłuższy przeciąg czasu. Zdarzyło się już nieraz, że statek, który powinien był odbyć drogę z jednego portu do drugiego w ciągu doby, potrzebował na przebycie jej pięciu dni do sześciu. Łatwo sobie wyobrazić położenie podróżnych, którzy w tym czasie byli wraz z załogą skazani oniemal na śmierć głodową. Oprócz tego zaś za szczęście poczytać należy, gdy w czasie mgły nie przyjdzie do zderzenia między statkami, odbywającymi drogę w przeciwnym kierunku.

Z dziejów terroru.

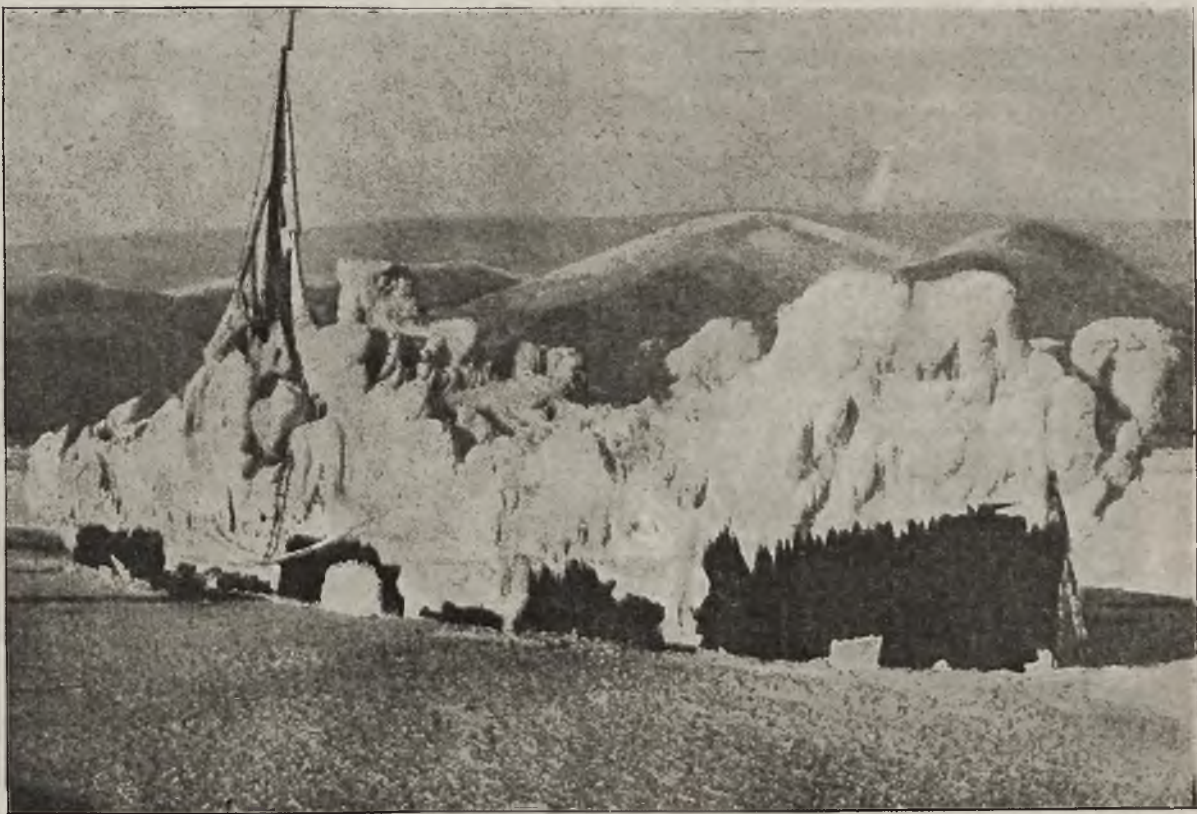
Wiadomo ogólnie, jakie pociąga za sobą smutne następstwa ten stan wrzenia rewolucyjnego, w którym znajduje się państwo rosyjskie od dwóch lat prawie. Morze krwi zostało wylane, setki egzystencji uległy zniszczeniu, przemysł i handel znalazły się w zupełnym zastoju, bandytyzm się szerzy, a pod względem politycznym niema nadziei poprawy stosunków, bo jedna Duma została rozwiązana, a od drugiej niewiadomo, czego można się spodziewać...

Oprócz Królestwa Polskiego, zostały najbardziej dotkniętymi tą straszną zawierną polityczną prowincje nadbałtyckie, a wśród nich na pierwszym miejscu Kurlandia.

Tamtejsza ludność wiejska mieszana, składa się bowiem z Łotyszów, Rosyan, Litwinów, a po części Polaków, została oddawna w stosunku do właścicieli wielkich obszarów, którymi są przeważnie Niemcy,

bardzo nieprzyjaznym. Wiemy bowiem dobrze, jakim bywa Niemiec, gdy dostanie się do władzy. Otóż teraz, gdy rewolucya ogarnęła Rosyę, nic dziwnego, że dawno tajona nienawiść i chęć pomsty wy-

buchły z żywiołową siłą wśród mieszkańców Kurlandyi. Rzucono się na dwory znienawidzonych „baronów“ kurlandzkich, wiele z nich spalono, poniszczono zabudowania gospodarskie, a oczywiście nie obeszło się przy tem bez strat w ludziach.



Fenomen natury: Statek, który zamarzł, zasypany śniegiem na Morzu Czarnem.

Wkrótce nastąpiła reakcja. Przemienne stano-wisko bowiem, jakie zajmują w świecie urzędowym rosyjskim Niemcy z tak zwanych „Ostzejskich prowincyj“, ułatwiło im pomstę nad zbuntowanymi chłopami. Na rozkaz z Petersburga wysłano natychmiast do Kurlandyi ekspedycje karne, a co tam one dokonały — to niezawodnie utkwilo w pamięci Czytelników z doniesień pism codziennych.

Taką właśnie jedną ze scen podczas karnej ekspedycji przedstawia rycina, którą zamieszczamy w dzisiejszym numerze „Now. Illustrowanych“. Widać na niej mieszkańców pewnej wioski kurlandzkiej, podejrzanych o knowania polityczne, a którzy mają być rewidowani przed urzędem gminnym przez wyższego funkcjonariusza policyjnego, w asystencji wojska. Maszynowe działo skierowane jest ku podejrzany, a żołnierze z nabitymi karabinami nie spuszczają z nich oka. Owego funkcjonariusza ostrzega właśnie zgromadzonych, aby nie próbowali ratować się ucieczką, bo natychmiast zostaną schwytani i rozstrzelani bez sądu. Oczywiście w tym wypadku, jak w wielu innych analogicznych, chodziło o znalezienie pism treści rewolucyjnej, lub browningów, tak wybitną rolę odgrywających w ostatnich czasach dziejów rewolucyjnych zaburzeń w Rosyi.

Jarosze w Askonie.

Zatarg małżeński, jaki zaszedł między byłym arcyksięciem, a obecnym obywatelem Helwecyi, Leopoldem Wölflingiem i jego żoną, z domu Ada-

mowicz, zwrócił uwagę powszechną na kolonię jarosów w Askonie, miejscowości położonej nad Langersee w Szwajcaryi. Są to ludzie szczególnego rodzaju, marzyciele, asceci, którzy w powrocie do życia najprostszego upatrują zbawienie dla ciała i duszy.

Pani Wölflingowa stała się gorącą zwolenniczką ich sposobu życia, a oprócz tego chciała nakłonić swego męża, by wstąpił w jej ślady. To jednak się jej nie udało, owszem spowodowała ostry zatarg małżeński, który jednak nie doprowadził do separacji, jak to pierwotnie doniosły dzienniki.

Do bliższej znajomości z jarosami askońskimi państwo Wölflingowie doszli w ten sposób, że wśród jarosów osiadł niejaki Graeser, były oficer austriacki, którego łączyła przyjaźń z Wölflingiem z czasów, gdy razem służyli w wojsku. Ten zaprosił w roku ubiegłym swego dawnego kolegę, aby go w Askonie odwiedził i odtąd datuje się znajomość pani Wölflingowej z tymi dziwakami, którzy lat temu sześć osiedli w Askonie.

Nabyli oni wtedy kilka na polu zrujnowanych chałup i parę morgów nieurodzajnego gruntu, który ciężką pracą zamienili na nrodzajny, dający im obecnie tyle, że mogą zeń wyżyć przy swych nader skromnych potrzebach. Jarosze askońscy ograniczyli wprawdzie do minimum swe potrzeby, na



Z dziejów terroru: Wojsko rosyjskie odbywa rewizję podejrzanych politycznie chłopów kurlandzkich.